

LATAWIEC Z BETONU

LATAWIEC Z BETONU

Monika Milewska

© Wydawnictwo WAM, 2018

© Monika Milewska, 2018

Książkę zrealizowano z pomocą finansową Województwa Pomorskiego oraz ze środków Miasta Gdańska w ramach Stypendium Kulturalnego Miasta Gdańska, a także dzięki Stypendium Baltic Centre for Writers and Translators w Visby



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Autorka dziękuje panu inżynierowi Jakubowi Kozakowi za obliczenia związane z obecnością krowy na balkonie

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Magdalena Mnikowska

Korekta: Anna Śledzikowska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Skład: Edycja

ISBN 978-83-277-0944-8

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: DIMOGRAF • Bielsko-Biała

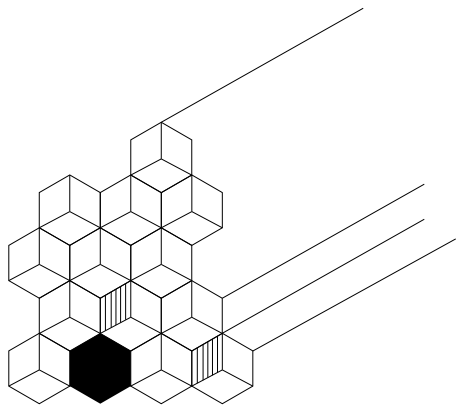
GENESIS

Na początku była łąka.

Na łące tej przez stulecia pasły się krowy, w nieskończoność przeżuając długie źdźbła słonej od morskiego wiatru trawy. Dojrzałe mleczko obracały się w ich żuchwach jak słońce na podniebieniu świata, a wahadła ich ogonów odmierzały kolejne wieki. I tak już być miało.

Ale w niedalekiej Oliwie cystersi postawili kościół. I zbiesił się diabeł, i chwycił kamień, by nim zdruzgotać wieże oliwskiej katedry. Kiedy leciał nad łąką, usłyszał dzwony. Czy to cystersi dzwonili na jutrznię, czy to łąka biła tysiącami swoich dzwoneczków na trwożę, nie wiadomo. Dość, że diabeł kamień upuścił, a głaz zarył w ziemię. Podlewały go deszcze słone i kwaśne, aż po wielu wiekach z kamienia-nasienia zaczął rosnąć dom. I rósł ten dom diabelski, urągając niebu. A kiedy wyrósł na pół mili i zaczął łaskotać chmury, Pan wyszedł zza obłoków i rzekł doń: „Ześ wyrósł z czarciego nasienia, to jako ten wąż kamienny na brzuchu czotgać i wić się będziesz”. I upadł dom, i wić się zaczął wśród prochu.

Kiedy przyszli pierwsi ludzie – rybacy, pasterze i dokerzy – nie wiedzieli, że z dziełem diabła mają do czynienia. Myśleli, że to wiatr od morza tak ten dom pofalował, że wije się w pyle i kurzu budowy. I nazwali go falowcem. I zamieszkali w nim.



SEGMENT PIERWSZY

KLATKA A

Inżynier po raz setny poprawił słuchawkę. Na masywnym szarym korpusie telefonu wyglądała jak martwy hipopotam. Odruchowo dotknął leżącej obok niebieskiej papierowej paczki z wymiętym napisem „Caro”. Od godziny tkwił w niej ostatni papieros.

„Wypalę go po – powtórzył w myślach i zawałał się. – A może On poczęstuje mnie gauloisami? Francuzi zawsze mają przy sobie gauloisy”. Tylko właściwie jakich on znał Francuzów? Paru robotników budowlanych i dwóch architektów, z którymi na delegacji w Lipsku obalił pół napoleona. „On nie nosi przy sobie gauloisów, tak jak królowa angielska nie nosi portfela”.

Telefon wciąż milczał.

„Tak, ten papieros przyda mi się po”.

Znów wyszedł na balkon.

„Jakiś kichowaty taki. Innym zaprojektowałem lepsze. A właściwie dziwny pomysł z tą przejażdżką. Kto na to wpadł? Pewnie jakiś kretyn z Komitetu Wojewódzkiego. Tramwajem się chcą pochwalić, jakby w Paryżu nie było dość tramwajów. A może

On się boi wsiąść do naszej czarnej wołgi? Ha ha! No dobrze, skupmy się. Trzeba jeszcze raz powtórzyć. Budowa trwała trzy lata. Każdy z czterech segmentów powstawał oddzielnie i każdy był oddzielnie zasiedlany. Łącznie budynek liczy szesnaście klatek, każda klatka średnio 110 mieszkań, co daje ogółem 1792 mieszkania. Blok ma jedenaście kondygnacji. Jego wysokość to trzydzieści dwa metry, szerokość – trzynaście metrów. I wreszcie rekordowa długość – 860 metrów, co plasuje go na drugim miejscu po wiedeńskim Karl-Marx-Hof. Jednak tamten proletariacki dwór nie faluje. Efekt falowania uzyskaliśmy za pomocą ustawienia prefabrykatów pod różnym kątem. Ta nowoczesna architektura stworzona została z myślą o naszej przodującej klasie robotniczej oraz o inteligencji pracującej, których przedstawiciele dla dobra socjalistycznej ojczyzny integrują się w tym wielkim wspólnym domu”.

Z każdym zdaniem rosła w nim duma. „Ha, może zacząć bardziej patetycznie? Na przykład tak: «Tu, gdzie jeszcze niedawno pasły się krowy, zbudowaliśmy najdłuższy falowiec Europy»”.

Telefon wciąż milczał.

„A może Go to zaboli? Że to u nas powstał najdłuższy, nie u niego. A niech Go zaboli, niech nie śpi całą noc. A następnego dnia znów zadzwoni telefon: «Słuchajcie, towarzyszu, prezydent Francji chce podpisać z wami kontrakt. Macie mu w Normandii wybudować falowiec. Jeszcze dłuższy niż nasz». «Dłuższy? Przecież to zdrada socjalistycznej ojczyzny». «Nie martwcie się, jak wrócić, to

u nas postawicie jeszcze dłuższy. A jak was znowu wezwie, to znowu wróćcie. I tak w kółko, aż całą Normandię i całe nasze Wybrzeże zabudujecie tymi swoimi falowcami». Ale kto by tam wracał z kontraktu we Francji? Tam nawet robociarze palą gauloisy”.

Znów podszedł do stolika, na którym leżał milczący telefon. Może aparat jest wadliwy? Zamontowano go dopiero wczoraj, w związku z przyjazdem prezydenta. Gdyby nie Jego wizyta na Przymorzu, inżynier musiałby czekać na przydział telefonu dobrych kilkanaście lat.

„Żeby tylko żaden z sąsiadów nie dowiedział się o tym. Zaraz ktoś będzie chciał zadzwonić – a to po pogotowie, a to na międzymiastową. Moje mieszkanie stanie się jedną wielką budką telefoniczną. «Proszę czekać, będzie rozmowa z ciocią z Ozorkowa». Niedoczekanie. Niech jadą na Poczcie Główną do Gdańska. W końcu po coś otwarto tę cholerną linię tramwajową. Nie, tę linię też otwarto tylko na Jego przyjazd. Jutro ją znowu zamkną, bo wszystko niegotowe. Nasypy, podkłady – prowizorka. Może wykoleił się na tych potiomkinowskich szynach i dlatego Go nie ma?”

Inżynier poprawił słuchawkę i wyszedł na balkon. Spojrzał w dół i głęboko odetchnął.

„On to musi zobaczyć. Każdy to musi zobaczyć”.

Wyglądało to tak. Najpierw pocztówkowe niebo, białe szlaczek drobnicowców na redzie, ciemnoniebieska farbka morza i głęboki cień lasu. A potem łąka pełna kolorowych chwastów i żółtych motyli. Motyle nie dolatywały na dziesiąte piętro. Niósł się

tam tylko pył z niezakończonych budowli. Ale właśnie ta budowa była widokiem, który zapierał dech w piersiach przechylnego przez balkonowe kratki mężczyzny. Porzucone betonowe płyty, rozkopane kwadraty ziemi, które z nieznanymi przyczynami wciąż nie mogły zamienić się w trawniki, zardzewiałe łopaty wbite w porośniętą samowolnie trawą hałdy, mozaiki gruzu i piasku – wszystko to budziło w budowlancu najczulszy ojcowski zachwyty. Zachwyty nad upapranych, nieporadnym – ale własnym – niemowlęciem. To niemowlę leżało w białym, prążkowanym beciku o długości 860 metrów. Cudowną regularność prążków najlepiej było podziwiać z dołu od strony galerii. Znajdujące się po drugiej stronie balkony przypominały raczej wzburzone fale z betonową pianą na grzbietach i metalowymi prętami w załamaniach. Ogromne białe rozchukane morze ciągnęło się aż po horyzont, aż po linię tramwajową, którą z lepszego świata miał przyjechać On.

Huk był przez długie lata dosłowny. Kiedy inżynier wprowadzał się do pierwszego członu, trwała budowa kolejnych. Wielkie skrzypiące żurawie kiwały głowami od rana do wieczora, przenosząc w dziobach żelbetowe żdźbła do nowego gniazda, a betoniarki całymi dniami mamrotały swoje monotonne mrużanki. Teraz też jedna jeszcze, może już tylko z przyzwyczajenia, obracała się jak bąk, brzęcząc coś owadziim basem. W pewnej chwili jej brzęczenie stało się bardziej wyraźne, dźwięk zaczął być przenikliwy i urywany.

„Telefon!” – pomyślał mężczyzna i rzucił się w kierunku słuchawki.

– Mówi Bulwa z Komitetu. Prezydentowi bardzo podobało się wasze dzieło.

– To On tu jest?

– Nie, odjechał już na to nowe lotnisko w Rębiechowie.

– Dlaczego nie zadzwoniliście wcześniej? Miałem Go oprowadzić po całym falowcu.

– Prezydent nie wyraził na to chęci. Popodziwiał z okna i pojechał aż na pętlę. Bardzo zainteresowały go nasze nowe tramwaje. Czy wiecie, towarzyszu, że w Paryżu nie ma tramwajów? My też nie wiedzieliśmy. Niby taki Zachód... No to do usłyszenia. Jak będzie coś ważnego z Komitetu, zadzwonimy do was.

Inżynier wyszedł na balkon. Drżącymi palcami wyjął z paczki ostatniego papierosa. Gdy próbował go zapalić, papieros wymsknął mu się z ręki i – rozżarzony – poszybował dziesięć pięter w dół.

KLATKA B

Inżynier obudził się rześki i niezwłocznie przywitał się ze sobą w łazienkowym lustrze. Wciąż wyglądał młodo, choć na jego fasadzie pojawiły się ostatnio drobne spękania zmarszczek. No cóż, 1 września skończył lat trzydzieści pięć i poświadczająca jego młodość legitymacja Związku Młodzieży Socjalistycznej utraciła swoją ważność bezpowrotnie. Namydlił pędzel i wprawnym ruchem włożył żyłkę do maszynki. „Przecież i tak nie mógłbym pojechać na ten kontrakt” – pomyślał, rozcierając na twarzy pianę.

Rok temu uciekła od niego żona. Wyjechała do matki, Niemki, do RFN-u, zabrała dzieci. Zabrała też mężowi nadzieję na paszport. „Nie wypuszczą mnie na Zachód nawet po żyłki”. Z westchnieniem spojrzął na puste pudełeczko. Podobnie jak w całym kraju, w jego domu dawało się odczuć coraz więcej przejściowych braków. „Czy lodówka też już jest zupełnie pusta?” – próbował sobie przypomnieć, wpatrując się w lustrze w swoją mleczno-białą brodę. Dziewczynki, kiedy były małe, lubiły

ściągać mu z twarzy pianę i chichotały, nazywając go „tata Mikołajem”. To było dawno. W innym życiu. Rok temu.

Z przedpokoju dobiegło go pukanie. Właściwie nie pukanie, a walenie w drzwi. „Kto się tak dobija, przecież jest dzwonek...”. Złe przeczucie chwyciło go za gardło. Przetarł rękami twarz. Kiedyś, gdy był młodym chłopakiem, takie walenie mogło znaczyć tylko jedno. „Chyba nie uznali, że jestem dywersantem? Spokojnie, mamy połowę lat siedemdziesiątych, a za budowę dostałem medal. Wszystko za chwilę się wyjaśni”.

Pokryty pianą ręcznik rzucił na umywalkę, szybko naciągnął na siebie koszulę i z biciem serca otworzył drzwi. Na galerii stała baba.

– Świeże jajeczka. Prosto łód kury.

Inżynier wściekły trzasnął drzwiami. Walenie odezwało się po raz wtóry, więc zrezygnowany ponownie je uchylił.

– Nie chcecie jajeczek? Z własnego chowu. Ło stał mi się akurat tuzin.

Wizja pustej lodówki przeważyła.

– Biorę.

– Łoj, widzę, żeście cosik markotni. Może młoczko wam by się zdało? Świeżuśkie, prosto łód Krasuli.

Tu baba trafiła w słaby punkt. Ciepłe wspomnienie mleka z dzieciństwa rozlało się w duszy inżyniera.

– Ze wsi? – zapytał, przetykając ślinę.

– Nie, łode mnie. Dobre, balkonowe. Chodźcie ze mną, to wam dam kankę. Bliziuśko mieszkam. W sąsiedniej klatce.

– Dobrze, tylko włożę buty.

– A na co tam, kochaniuśki, buty. Tu wszystkie ludzie w papuciach do nas lizą.

Odruchowo spojrzął na jej nogi. Baba miała na sobie wysokie, uwalane błotem gumofilce. Zapłacił za jajka, schował je do lodówki, zamknął drzwi od domu na klucz i podążył za swoją przewodniczką. Przeszli razem kilkanaście metrów odkrytą galerią, z której wchodziło się bezpośrednio do mieszkań sąsiadów. Potem baba pchnęła ciężkie drewniane drzwi i oboje znaleźli się na klatce schodowej. Klatka była obszerna i pusta. Nie było na niej nawet wejścia do windy, bo winda na dziesiąte piętro nie dojeżdżała. Za to oszczędnościowe rozwiązanie inżynier dostał specjalny dyplom. Zachęcony sukcesem, dalej ulepszał swój projekt. Sypnęły się kolejne pochwały. A potem przekleństwa mieszkańców. Winda zatrzymywała się co dwa, trzy piętra. W skali budynku dawało to oszczędność wielu drzwi z deficytowego szkła i metalu. A naród, oszczędzając cenny mechanizm i zrzucając z siebie zbędne kilogramy, stawał się dla państwa coraz mniejszym ciężarem.

Baba z całej siły pchnęła kolejne drzwi. Weszli na sąsiednią galerię.

„Jakoś tu chłodniej – pomyślał inżynier. – Słońce pada pod innym, jakby jesiennym kątem. Ciekawie to zaprojektowałem”.

Baba zaczęła stukać w kuchenne okienko.

– Józek, łotwieraj. Letnika ci przyprowadziłam. Mlika chce.

Drzwi otworzył wąsaty chłop w kufajce i wysokich gumiakach.

– Co ty, kobieto, gadasz. Jesień już. Letnicy wyjechali.

– Ale ten chce mlika.

– To sama wydój. Ja nie mam kiedy. Miłka się oprosiła.

– Ło, Jezu! – pisnęła z radości baba i zniknęła w czeluściach małego pokoju.

„To ten sześciometrowy” – pomyślał nie bez dumy inżynier. Za ten pokój też otrzymał dyplom. Chłop zdawał się czytać w jego myślach.

– Za mały dla człowieka, tom z niego chlewik zrobił. Ledwie jedna świnia się zmieściła. A teraz będzie siedem trzymać.

Baba wychyliła głowę z chlewika.

– Nie frasuj się, Józek. Troszkę podtuczysz i na pniu sprzedasz. Ja ci mówię, że łogonek po wieprzki będziesz miał przez całą galerię, aż do ostatniej klatki. No, co tak stoicie, kochaniuśki? Wejdźcie do izby.

Inżynier przestąpił w kapciach kilka kroków i... runął jak długi.

– Gdzie łone, cholery, znoszą te jajka! – usłyszał nad sobą głos gospodyni. Kiedy podniósł głowę, zobaczył małe świdrujące oczka. Między nimi zarzył się na czerwono grzebień. Wielki, nakrapiany, jesiennobarwny kogut stanął na straży własnego terytorium. Najpierw uniósł z lekka jedno skrzydło i zaczął machać nim miarowo, jakby odliczał znokautowanego już przeciwnika. Ponieważ przeciwnik ani drgnął, kogut postanowił ogłosić swoje zwycięstwo. Stanąwszy na palcach, wygiął kogucią sylwetkę i tryumfalnie zapiał.

– A pójdziesz stąd, sio!

Odsiecz uzbrojona w ścierkę wybawiła zmar-
twiałego ze zgrozy inżyniera.

– Nic się wam nie stało?

Gospodarz pomógł mu wstać. Dopiero teraz
mężczyzna zobaczył, gdzie trafił.

Lwią część dużego pokoju zajmowało wielkie
drewniane łoże, na którym piętrzyły się stożkowe
góry haftowanych poduszek. Nieotynkowane ścia-
ny zdobiły święte oleodruki, pouczające makatki,
malowanki na szkłe i ptaszki wystrugane z drewna.

„Skansen” – pomyślał inżynier i spojrział w stro-
nę okna. Na karniszu równym rzędem siedziały
żywe kury.

– To od nich te jajka? – spytał.

Baba uderzyła w lament.

– A co było robić? Ziemię zabrali, że niby łośie-
dle majstrować będą. Wszystko na zatracenie szło,
to chcieliby choć coś z gospodarki łącalić. Wzielim
świninę, krówkę, co było w kurniku i zabralim to tu-
taj, do tego walonca.

– Falonca – poprawił ją chłop.

– No mówię, że waloniec. My tu kwaterunek do-
stalim.

– Nie gadaj, matka, jak nie wiesz. My tu są spół-
dzielcy, do spółdzielni nas zapisali. A z tym „waloń-
cem” to masz, babo, rację, bo tu wszystko się wali.
Żadna ściana prosta nie jest. I bez tynku je oddali,
jak w jakiej oborze.

– Ło Boże, ło Boże! Jaka u nas piękna chata
była, calusia drewniana. I krówek było tyle, pasalim
je tu, na tych łąkach, a tera się ino Krasula łośtała.

– Tego, co to ten waloniec wymyślił, to ja bym na dożywocie skazał. Niech tu do koniuszka swego życia mieszka. Może by od tego rozumu nabrał. Wszystko tu głupie, a najgłupsza ta winda, co się co niektóre piętro zatrzymuje. A ciasna, że się ledwie baba z chłopem pomieści. I to w takim ścisku, że dzieciaki z tego być mogą. A dzieciaki już się w windzie nie zmieszczą. I co będzie?

– Nasza Krasula też nie wliźła. Musielim ją dziecięć pięter na górę na postronku ciągnąć. Ledwie nam ducha na tych schodach nie wyzionęła.

– Cichaj, matka. My tak gadamy, a pan nic. To nie po chrześcijańsku tak gościa zagadać. Dawno tu mieszkata?

– Trzy lata – inżynier nerwowo przełknął ślinę.

– No, to wy tu stary gospodarz! A my się tu dopiero niedawno sprowadzili. No i jak się wam tu żyje?

– No cóż, mnie mieszka się dobrze. Ale rozumiem, że nie każdemu musi to odpowiadać. To bardzo nowoczesna architektura. Można powiedzieć na miarę XXI wieku.

– Jak ten XXI wiek ma być taki jak ten poroniec, to lepiej go nie doczekać. Matka, daj nam mlika!

– Nie drzyj się, Józek, idę doić.

Baba otwarła drzwi balkonowe z góry na dół zasłonięte słomianką. Do pokoju wsunął się ciekawski łeb Krasuli. Tego już inżynierowi było za wiele.

– Dostaliście zezwolenie na trzymanie zwierząt gospodarskich w domu?

– A kto by się tam kogo pytał? U siebie my są, na swoim.

– To może jeszcze w łazience macie staw rybny? – zaskpił inżynier.

– Jakbyście zgadli. Zajrzyjta tam sami.

Gość nie dał się dwa razy prosić. Otworzył drzwi łazienkowe. W niedużej wannie pływało kilka młodych karp. Spojrzały na intruza wybałuszonymi oczami. Chłop nie krył dumy.

– Podkarmi się je chlebem, to na wigilię będą jak złoto. Już się sąsiedzi na karpie zapisują. Zapisać was?

– Nie, dziękuję – inżynier już tylko kombinował, jak czmychnąć z tego dziwnego świata. – Za wcześniej myśleć o wigilii.

Machinalnie spojrział na wiszący w przedpokoju kalendarz. 21 października 1976 roku. Za bardzo go nawet nie zdziwiła ta oderwana od rzeczywistości, październikowa data. Krasula mogła przecież wyjść z kalendarza kartka po kartce tych kilka dzielących ich od października miesięcy. Ale gdzie, u licha, ci prości ludzie zdobyli kalendarz na przyszły rok? Teraz, w czerwcu, na pewno nie było go jeszcze w dystrybucji. Pożegnał się pospiesznie i – bez mleka – wrócił na swoją klatkę. Przywitało go czerwcowe słońce.

Natychmiast zaszył się w swojej sześciometrowej pracowni. W pokoju mieściły się tylko: zaniedbany asparagus na drewnianym stojaku oraz zawalone papierami biurko. Nad biurkiem w kilku rzędach wisiały dyplomy. Wśród nich ten za „racjonalizację w dziedzinie użytkowania windy osobowej”. Inżynier zawzięcie liczył coś według wzoru.

Potem podsumował wynik na wielkim elektrycznym kalkulatorze i... złapał się za głowę.

„Natychmiast muszę biec do spółdzielni. No tak, ale przedtem powinienem założyć krawat, marynarkę, ogolić się. Przecież nie zdążyłem się ogolić... Lepiej będzie, jak zadzwonię”.

Szary hipopotam drzemał na stoliku w dużym pokoju. Inżynier wyciągnął z teczki notes i pod literą „s” znalazł numer do spółdzielni. Zagłębił palec w tarczy telefonu i wykręcił kolejno pięć cyfr.

– Dzień dobry. Tu mówi główny projektant falowca. Chciałem zgłosić zagrożenie katastrofą budowlaną.

– Pan się do kasy dodzwonił. U nas katastrofa *non stop*.

– A mogłaby mnie pani połączyć z panią Basią?

– Pani Basia akurat u nas kawkę pije. Już ją daję.

– Dzień dobry, panie inżynierze. Koleżanki mówią, że w falcu jakaś katastrofa?

– Jeszcze nie, ale w każdej chwili może się wydarzyć. W pierwszym segmencie w lokalu 103 w klatce B sąsiedzi trzymają na balkonie krowę.

– Krowę? Pan żartuje! Słyszałam już o kurach, królikach, nawet o prosiaku na balkonie. W falcu zamieszkało wielu chłoporobotników z okolicy, więc trudno im się rozstać z żywym inwentarzem. Ale krowa? Od takiego ciężaru chyba zarwałby się balkon.

– Ma pani stuprocentową rację. Przed chwilą to policzyłem. Balkon nie utrzyma ciężaru krowy.

– Ale mimo to ona tam jest?

– Tak. W mieszkaniu jest też i świnka z sześcioma prosiętami, i staw rybny w łazience...

– O, to pewnie można u nich karpia na wigilię załatwić?

– ...i kurnik w dużym pokoju. Tym powinien się zająć sanepid.

– Dobrze, sprawdzimy to. A pan inżynier dzwoni z biura projektowego?

– Nie, cały czerwiec jestem na zaległym urlopie.

– To skąd pan dzwoni? Z budki?

– Nie, już nie muszę. Od dwóch dni mam własny telefon. Tylko proszę o dyskrecję. Nie chciałbym, żeby ktoś z sąsiadów się dowiedział.

– Rozumiem. Nie dadzą panu żyć. Jaki tam jest numer? Jutro do pana oddzwonię.

Inżynier odłożył słuchawkę z ulgą. Poczul, że tym donosem spełnił swój obywatelski obowiązek i zasłużył na jajecznicę z pięciu jaj.

Otworzył lodówkę, by je wyciągnąć i... zdziwiony cofnął rękę. Lodówka była pusta.